Rozmaitości

DNIA 6. CZERWCA N^er 23. 1835 ROKU.

TROJE WRÓŻEBNYCH NIEDZIEL.

Wyimek z papierów artysty.

(Dokończenie.)

Wieczór przepędziliśmy śród radości; kapitan ofiarował mi z największą serdecznością swój dom, swój wpływ, i swoję kieszeń; odłożyłem do jutra mówić z nim o mojém życzeniu, i teraz nawet bardzo rad jestem z tego, żem to uczynił, bo przynajmniéj noc piérwszą w Breście prześniłem spokojnie, i w najpochlebniejszéj nadziei widzenia brata mego, z którym jednem już oddychałem powietrzem. Lecz jakże się wszystko zmieniło, gdym się nazajutrz kapitanowi zwierzył, pocom właściwie do Brestu przyjechał; jakże mu ciężko przyszło powiedzieć mi czystą prawdę. Po długiém ociąganiu się rzekł mi nareszcie: »Taić nie mogę, wielu z korpusu Schilla znajduje się uwięzionych w Breście, a między niemi może i brat wćpana; ale jeżeli się rzecz tak ma w saméj istocie, nie mysl wćpan aby brat jego był między uczciwymi, wojennymi jeńcami; znajdziesz go raczéj między— na galerę skazanymi!« Łatwo sobie wyobrazić, jaki skutek ta mowa na moje uczucie wywarła, i kto wie, coby się było ze mną w tém wezbraniu uczuć stało, gdyby mię kapitan w téjże saméj chwili nie był swoją uwagą pokrzepił. Dowodził mi, że okropny los brata mego, będąc skutkiem konieczném surowości cesarza, nie może w oczach świata pozbawić go ani czci, ani honoru, i że między hańbiącą zbrodnią, a politycznym obłędem wielka zachodzi różnica; że nareszcie, na wszelki przypadek moim obowiązkiem było wyszukać brata, mówić z nim, i od niego się dowiedzieć, co dla złagodzenia losu jego, przedsięwziąć można. Nie przestał na saméj pociesze, star się być mi pomocnym. W ubiorze cywilnym chodził ze mną po wszystkich biórach, i gdzieśmy tylko spodziewać się mogli zasiągnąć wiadomości o Leopoldzie. Ja, jako obcy, byłbym miał tysiąc trudności, lecz towarzysz mój, znalazł wszędzie uprzejmą gotowość. Dowiedzieliśmy się nakoniec, że Leopold był istotnie na galerach, i otrzymałem pozwolenie odwidzenia go w tém okropném więzieniu. Kapitan nie wahał się i tu być mi towarzyszem. O Boże! szedłem miotany okropném uczuciem! — Przybywszy do strzeżonéj kraty podwórza, usłyszeliśmy brzęk kajdan więźniów galerowych, którzy właśnie ciągnęli taczkę z potrzebami arsenałowémi; byłyto twarze blade z długiémi brodami. Zadrzałem na myśl samę, że może między niémi poznam i brata mego; lecz na szczęście tam go nie było. Dopiero u dozorcy dowiedzieliśmy się, że Leopold zostaje w téj sali, gdzie więzniowie pruscy, ze szczególnych względów tutejszych władz wojskowych, nie do robót publicznych, lecz tylko do zatrudnień domowych używani byli. Poszliśmy spieszno długim korytarzem do wskazanéj nam sali. Przez drzwi otwarte usłyszałem odgłos słów, i pieśni niemieckich. Wszedłszy, ujrzałem kilkunastu więźniów rozmową się bawiących, siedzących około miedzianego kociełka, w którym był ich obiad, a między niemi — mieścił się i nieszczęśliwy brat mój, którego postać i twarz tak były zmienione, że tylko z boleśną trudnością poznać go mogłem. Gdym go po imieniu zawołał, porwał się drżący z ławki; blaszana łyżka wypadła mu z ręki, i obadwaj, bolesném uczuciem przejęci, ujęliśmy się w ramiona! Rozruch powstał między więźniami, każdy

badał okiem ciekawie, cobyto było. Leopold nie mógł zapłakać, drżał na całém ciele i był blizki omdlenia. Za staraniem kapitana, pozwolono nam rozmówić się i powitać w sali osobnéj, w jego i dozorcy przytomności. Boże! zachowaj każdą poczciwą duszę od takiego powitania! — Moi rodzice byliby trupem padli na widok Leopolda w przebytku hańby, w zgrzebnéj odzieży, nędzą i głodem wybledzonego! Nic on nie wiedział o moich przygodach, myślał równie jak i kapitan, że przybywam z domu rodziców. Dla własnego bezpieczeństwa zostawiłem go w tém mniemaniu, i wypytywałem się troskliwie, co go do tego nieszczęścia przywiodło. Jego opowiadanie serce mi krajało, a że było rzetelne, za to mi ręczyła jego wrodzona, i znana mi rzetelność. Opisał mi, jak z domu swego nauczyciela wyszedł był do północnych Niemiec, i tam szukał polepszenia losu; nie daleko Magdeburga znalazł odpowiednią życzeniom swoim posadę, został leśniczym w dobrach znakomitego pana. Nie długo trwało, aż oddział Schilla wpadł w owę okolicę. Pod Dodendorf przyszło między nim i Westfalczykami, jako sprzymierzeńcami Francuzów, do zaciętéj bitwy. Nieszczęście chciało, aby się Leopold w powołaniu swéj służby, w téjże saméj stronie na ówczas znajdował. Jeden oddział strzelców Schilla, będąc odciętym od głównego korpusu, szukał w ucieczce ocalenia; żołnierze nie znając drogi, idąc manowcami, obłąkali się w zakrętach lasu, i tam, postrzegłszy Leopolda, przymusili go służyć im za przewodnika. W godzinę poźniéj, wpadli wszyscy w ręce nieprzyjaciela. Sąd wojenny, który pojmanych oficerów rozstrzelać, a prostych żołniérzy do Francyi na galery zaprowadzić kazał, nie zważał bynajmniéj ani na usprawiedliwienie się, ani na protestacyją Leopolda; jego strzelecki ubior, jego sztuciec, były tym panom dowodem dostatecznym, a świadectwo żołniérzy, i obrona jego, nie znalazły wiary. Od tegoto czasu prawie rok cały siedział w Breście w galerowém więzieniu. Uwolniono go wprawdzie wraz z jego towarzyszami od ciężkich kajdan, wyłączyło ich uczucie ludzkości od społeczeństwa z napiętnowanémi zbrodniarzami; ale więzienie Leopolda nie mogło się jednakże otworzyć, ponieważ nikt, nawet z najśmielszych, nie miał tyle odwagi zanieść prośbę do cesarza za jeńcami z korpusu Schilla. Im mocniéj więc byłem przekonany, że Leopold szczérą mówił prawdę, tém mniéj mogłem mieć nadziei wyjednania mu wolności. Bolesne było położenie, w którém zostawałem! — W zupełném zwątpieniu, pożegnałem się z bratem, i tylko mu łzy moje, i cokolwiek pieniędzy zostawiwszy, wyrwałem się z ramion jego. Lecz cóż było daléj czynić? jak sobie zaradzić? miałżem wrócić z tą straszną wiadomością do rodziców? zostawić brata bez nadziei? Takem sam siebie się pytał i takie ciężkie miałem przed sobą zadanie! — Tylko czułéj pani Firmin było zostawiono zwrócić uwagę moję na możność ulżenia losowi Leopolda. Cała Francyja mówiła wtenczas z uniesieniem o swéj młodéj, pięknéj cesarzowéj; powszechném wtedy było mniemaniem, że po surowéj samowolności, nastąpią czasy łagodniéjsze, a po zgubném wojenném rzemiośle, pokój zbawienny. W tym samym czasie kiedy do Brestu przybyłem, wstąpiła arcyksiężniczka na ziemię francuzką, i do Compiegne przybyła. Dzwony wszystkich kościołów w kraju obwieściły uroczyste zaślubienie cesarza z arcyksiężniczką w St. Cloud; a pani Firmin zapytała mię: azali mam dosyć miłości braterskiéj, i dosyć śmiałości potrzebnéj, abym cesarzowéj podał prośbę i błagał jéj łaski do wstawienia się u jéj małżonka za poddanym jéj ojca. Ta myśl natchnęła mię nadzieją, i rozpromieniła zgasłą już otuchę we mnie tém bardziéj, że od czasu poznania panią Firmin, o dobroci serca płci pięknéj powziąłem najkorzystniejsze mniemanie; lecz kapitan pochwiał wątpliwie głową, i nazwał plan żony swojéj, awanturniczym. Nie wróżył on sobie dobrego skutku, mniemając, że nie tak łatwo było skłonić cesarza do zrzeczenia się zamysłu, raz już w obliczu świata powziętego. Oświadczył w dodatek, iż cesarzowa, znając niezłomny charakter swego małżonka, nie zechce się zająć taką prośbą. Pani Firmin stawiła na przeciw temu anegdotę o księżnéj Hatzfeld, która wtedy jeszcze w świeżéj pamięci była — utrzymywała, że cesarz nie jest tak surowego charakteru, jak o nim głoszą, i jak się na pozór wydaje. Dziwiło mię, i gniewało nawet, że kapitan, będąc jeszcze po sześcio-letnim przeciągu życia małżeń-

skiego, był jakby oblubieniec w swojéj żonie zakochanym — i miał nim być przyczynę — mógł wątpić o wszechwładnym skutku prośby kobiéty, a zwłaszcza w piérwszych, pięknych, słodkich chwilach stanu małżeńskiego. Nie mógłem albowiem nic sobie w świecie takowego pomyśléć, czegobym uroczym wdziękom i słodkim słowom lubéj małżonki odmówić zdołał; i na tém budowałem plan zupełnego zwycięztwa nad uprzedzeniem cesarza. Prócz tego szło tu o los niewinnego młodzieńca, który pomimo wiedzy i woli wpadł w nieszczęście, szło tu o poddanego domu cesarskiego, i ziomka saméj młodéj cesarzowéj; i to wszystko razem zważywszy, dawało mi powód otuchy, że się mojéj gorliwości powiedzie, com sobie z całéj duszy zamierzył. To prawda, nie raz mi moje osobiste niebezpieczeństwo stanęło w pamięci, i sam siebie przestrzegałem o możliwych skutkach z owego wyroku śmierci, z pod którego z tak wielkiém usiłowaniem zaledwie ujść zdołałem; lecz w zamyśle moim utrzymywała mię niezachwiana wiara w pomocy niebios. Wszak Paryż, jakto nie raz słyszałem, ma być małym światem; ty, osoba tak mało znacząca, łatwo się tam ukryjesz, a jeżeli cię Bóg oczywistéj wyrwał śmierci, w samym Paryżu nikt cię szukać nie będzie; nikt nawet i nie pomyśli, abyś żył jeszcze na świecie. W ten sposób uspokoiłem się ile można, a porachowawszy się z moją kassą i znalazłszy, że przy potrzebném ograniczeniu, mogę do Paryża zajechać i do Brestu wrócić; postanowiłem, mając ufność w Bogu, w cesarzowéj, i w naszym ambasadorze w Paryżu, udać się do stolicy Francyi. Jakoż odjechałem potajemnie dyliżansem, nie pożegnawszy się z państwem Firmin, aby mię do przyjęcia pieniędzy na drogę nie przymusili, coby zapewne uczynić byli nie omieszkali; nie pożegnawszy się nawet z bratem, aby mu braterska czułość moja nie odkryła powodu mojéj podróży, i nie wzbudziła w nim nadziei, którаby go srogo zawieść mogła. Odjazd mój ukrywałem przed nimi równie i z tego powodu, że byłem pewny oglądania ich znowu; bo na każdy, bądź szczęśliwy, bądź nieszczęśliwy wypadek, obowiązek i czucie moje, wzywały mię na powrót do Brestu. — Nie będę tu mówił ani o mojéj podróży, ani o wjezdzie do Paryża. Ogromne tą miasto, lubo mię w zdumienie wprawiło, nie miało dla mnie żadnego powabu. Z ścisnioném sercem wszedłem do hotelu, który grzeczny konduktor mi wskazał, i pobiegłem, skoro przyzwoitość i moja toaleta pozwoliły, do księcia Szwarzenberga, posła mojego cesarza. Nie trudno mi było zyskać przystęp do tego szczéro-dusznego pana, a znalazłszy dobre przyjęcie, powziąłem znowu nadzieję, która wszakże nie trwała długo. Książę słuchał mię z początku z wielką uwagą, lecz skorom to nieszczęsne nazwisko: Schill wymówił, zasępiło się czoło jego; a gdy potém o bliższe szczegóły życia mego zapytany, zupełnie się mu zwierzyłem; łagodność twarzy jego zmieniła się w uderzającą trwożliwość. Miał mi za złe, żem się odważył, jako już na śmierć osądzony, przybyć do Paryża; mówił mi o wielkim kłopocie, w którymby się on znajdował, gdyby cesarz się dowiedział, że się ze mną w bliższe wdał stosunki; zapewniał mię, że cesarzowa żadnym sposobem za tą nieszczęsną sprawą ująć się nie może, i radził mi z naleganiem, abym jak najprędzéj opuścił Francyję, i brata mego na czas jakiś jego zasłużonemu losowi zostawił. Po takiéj odprawie, wyszedłem ze łzami w oczach z sali posłuchalnéj; stanąwszy w korytarzu, uczułem, że nogi zachwiały się pode mną. Będąc blizki omdlenia, usiadłem na krześle jednego z lokai, który był na służbie przede drzwiami. Gdy nadszedł, wstałem pokornie. Zaraz mię poznał, żem był ziomkiem jego. Byłto człowiek poczciwy, tkliwéj duszy; ofiarował mi pomoc swoję. Opowiedziałem mu o moim bracie, o jego cierpieniach i o niepocieszněj ambasadora odpowiedzi. Ścisnął ramionami, zaprowadził mię do swego pokoju; tam uwiadomił mię poufnie: że książę jest za nadto przezornym i trwożliwym, aby mógł prośbie mojéj zadość uczynić, i że najlepiéjbym zrobił, gdybym się do saméj cesarzowéj o protekcyję udał; do tego zaś nie potrzeba mi nic więcéj, jak tylko dobrze ułożonéj prośby, pomyślnéj sposobności do jéj podania, i niezachwianéj śmiałości. »Dwór cesarza właśnie wczoraj wieczorem wyjechał znowu na dwa dni do St. Cloud,« rzekł mi ten poczciwiec, »nasz książę ambasador jest od téj podróży uwolniony; byłoby najlepiéj, gdybyś tam pojechał. Dni są pogodne i piękne, możeby się

szczęśliwie zdarzyło, iżbyś mógł najłatwiéj z cesarzową, arcyksiężniczką naszą, mówić w pałacowym parku, gdzie się przechadzać zwykła; po jéj dobroci serca, możesz się wszystkiego spodziewać, co tylko jest w granicach jéj możności.«

Rada mojego kochanego ziomka, była dla mnie głosem anioła, chwyciłem się jéj całém sercem, jak błogiego promienia nadziei; za pomocą jego napisałem prośbę po niemiecku, tak tkliwéj treści, jaką mię tylko czucie moje i miłość braterska natchnąć mogły; przepisawszy prośbę na czysto, jeszcze tego samego dnia po południu pojechałem do St. Cloud. Skorom tam przybył, niecierpliwość moja pognała mię natychmiast do zamku, który się zdawał być przepełnionym gwardyją i od złota lśniącémi się dworskiémi ludźmi. Pośród téj uwijającéj się zgrai, przedarłem się szczęśliwie aż do samego gmachu, gdziem był przez szwajcarów u podwoi stojących, na ścisłe wzięty przepytywania. Na moję prośbę, aby mi wolno było stanąć przed cesarzową, rozśmiali się na całe gardło ci szemerowani panowie, i dali mi w odpowiedzi: Że Cesarzowa Jéjmość jest teraz przy toalecie, że wkrótce będzie obiad, i że teraz nie można z żadnym z jéj szambelanów, a w ogólności z żadną znakomitą osobą w zamku mówić, i przed jutrem nie podobną rzeczą mieć nadzieję podania prośby. — Odszedłem ze smutkiem, i przez roztargnienie nie bacząc, gdzie mię kroki wiodły, wszedłem do ogrodów. O téj godzinie były bezludne, mógłem niepostrzeżony błąkać się po ich dzielnicach. Widok śklarni, z któréj się już kwiaty wiosenne w całéj swéj okazałości uśmiéchały, a do czego rośliny i drzewa pod niebem, dopiéro się usposobiać zaczęły, zwabił mię do siebie. Właśnie wtedy gdym przed śklarnią stanął, wyszedł z niéj jakiś mężczyzna z prześliczną różą w ręku; chciałem go właśnie ze skromném pozdrowieniem ominąć, gdy nagle stanąwszy, pytającą minę przybrał, i ostrém okiem mię zmierzył; musiałem się mimo woli w kroku zaciąć, i przed nim jak wryty stanąć.

»Dokąd przyjacielu?« zapytał w francuzkim języku, dość natarczywie.

Zdobywszy się na francuzczyznę, na jaką mi stać mogło, zacząłem mówić o przechadzce i t. d.

»Tu się publiczność nie przechadza;« odpowiedział mi na to, i powiódł swoje siwe, przenikliwe oczy po méj twarzy tak ostro, żem się, sam nie wiedząc dla czego, spłonił i zmieszał.

»Wćpan jesteś cudzoziemiec?« pytał daléj. — »Jestem,« odpowiedziałem.

»Czy żądasz czego?« Na to zapytanie nabrałem serca i rzekłem: »Tak jest, do usług. Mam prośbę do Cesarzowéj Jéjmości.«

»Czy tak?« odpowiedział mi, wlepiwszy wzrok swój w twarz moję i powąchywał różę. »Zapewne ziomek Cesarzowéj. Wćpan masz twarz Austryjaka.« Potwierdziłem to skinieniem głowy, i cokolwiek zmieszany, tarłem palcami wystający z pod fraka róg prośby. Oko pytającego zwróciło się na ten przedmiot.

»Z cesarzową mówić nie można,« odpowiedział krótko; »pokaż wćpan mnie ten papiér!« Zadziwił mię ton rozkazujący: lecz mimowolnie stałem się posłusznym. Oddałem mu prośbę. Rozwinął ją spiesznie, i w téj chwili, kiedy w niéj milcząc oczy zatopił, nabrałem odwagi, bliżéj mu się przypatrzyć. Okrągły, z széroklémi krysami kapelusz, ocieniał jego szérokie, smagławe oblicze, którego część większą zasłaniał przede mną, rozłożony papiér. Miał na sobie długi, zielony, z najcieńszego sukna surdut, zapięty aż po szyję na guziki. Z pod surduta wyglądały białe krótkie spodnie, i pończochy jedwabne; u trzewików były małe sprzążki, a na ręce bardzo kształtnéj, miał złoty pierścień, prześlicznéj roboty. Ubior ten, jakkolwiek skromny, okazywał jednakże znakomitą osobę dworu, i nie mało mi to pochlebiało, gdy po chwilowém przebieżeniu prośby, składając ją, rzekł do mnie:

»Po niemiecku nie umię, lecz jeżeli rzecz jest nagła, oddam Cesarzowéj.« Skłoniłem się i wyjąknąłem z pospiechem: »Ale proszę zaraz, bo rzecz bardzo pilna.« Nieznajomy spojrzawszy na mnie, rzekł z uśmiechem: »Nie troszcz się,« a jego twarz pochmurna rozjaśniła się w pogodę. »Idę właśnie do Cesarzowéj.« Tu skinąwszy z lekka głową, odszedł ode mnie; ale o kilka kroków zwrócił twarz ku mnie i zawołał: »Jutro na paradzie!« poczém odszedł z wolna z głową w dół spuszczoną i z założonémi w tył rękami, w których różę i moję prośbę trzymał. Ja stałem z odkrytą głową i patrzyłem za nim zdziwiony, gdy w téjże chwili wyszedł do mnie ogrodnik ze śklarni, i podając mi z grzecznym ukłonem piękny hijacynt w podarunku, rzekł z uprzejmością: »*A votre bonheur*, *monsieur*; Cesarz Jegomość był mu wielce łaskawym!«

Teraz dopiéro dowiedziałem się, z kim mówiłem, i tém zdarzeniem, jeszcze bardziéj się zmieszałem. Dotąd nie miałem jeszcze szczęścia widziéć jakiego cesarza, a że będę kiedyś mówił z wielkim Napoleonem, o tém ani pomyślałem. Będąc tak nadspodziane zagadnionym, wyniosłem się jak niepyszny z ogrodu. W mojéj gospodzie, do któréj zajechałem, wisiał prawie w każdym pokoju portret cesarza, a ja przecież oryginału nie poznałem. Byłto skutek mego pomieszania lub tak chciało przeznaczenie. Czynić sobie wyrzuty już było za późno; zacząłem przemyślać, czy moja prośba w dobre ręce się dostała? Tém zapytaniem nieustannie kłopotany, nic ani jadłem

ani przez całą noc oka nie zmrużyłem. Nazajutrz skoro zadniało, zerwałem się z łóżka i starałem się, z bijącém sercem, ubrać jak najchędożniéj. Naznaczona godzina nadeszła, a ja, puściwszy się do zamku, zbliżyłem się do tak zwanéj małéj parady, na któréj cesarz osobiście bywał. Żem na twarzy blado, jak duch wyglądał, i że pode mną nogi drżały, taić nie będę; wszakże miałem się dowiedzieć o moim ostatecznym losie; a każdemu wiadomo, że od wyroku tego męża nie było już żadnéj na świecie apelacyi! Wszedłem w natłoczone wojskiem podwórze. Szeregi grenadyjerów, szwadrony karabinierów i kirasyjerów, płynęły po pod moje oczy, a ja nie pomnę, czy je widziałem; bo moje oczy w jednego tylko wlepione były, od którego całe moje niewysłowione szczęście, lub nieszczęście zawisło! Jego prosty, zielony mundur, jego uprzejmość, którą żołnierzom okazywał, dodały mi cokolwiek odwagi; wszyscy albowiem marszałkowie, wszyscy jenerałowie, którymi był otoczony, śklili się od złota; a ich wytworny przepych w ubiorze, równie jak ich zewnętrzna marsowa postawa, więcéj służyły do odstraszenia, aniżeli do pociągnienia ku sobie. Parada, lubo się z nie wiele wojska składała, trwała jednakże długo, a ja otoczony tłumem ustrojonego ludu, który piękny dzień niedzielny ze stolicy wywabił, stałem jak na żarzących węglach Teraz mi właśnie przyszła na pamięć wiara mojéj rodziny w niedzielę wróżebną; ta myśl, i widok cesarzowéj, która się na balkonie zamku na chwilę, radośnie wołającemu ludowi, i wojsku pokazała; pokrzepiły moję chwiejącą się nadzieję. Co też ona, co jéj małżonek w odpowiedź na prośbę moję postanowili? Może już cesarzowa o mnie zapomniała, a cesarz już i nie myśli o człowieku, któremu dnia wczorajszego sam tu przyjść kazał! Témi lub podobnémi dręczyłem się myślami, gdy trąby zagrzmiały, a janczarska muzyka zakończenie przeglądu zapowiedziała. Cesarz żegnając wojsko, zabiérał się do powrotu na zamek. Jakby kogoś szukając, powiódł jasnym i ostrym wzrokiem po otaczającém go kole; a ja to widząc, przecisnąłem się aż do piérwszego szeregu widzów, w bliz miejsca, gdzie stał cesarz. Nie długo trwało, a jego oko spoczęło na mnie; dreszcz i płomień owionęły mię zarazem. Skinął, a Mameluk przyskoczył, i w zgiętéj, pokornéj postawie, czekał jego rozkazu. Napoleon, wskazawszy na mnie, szepnął mu coś do ucha. Com wtedy uczuwał, opowiedzieć nie umie. Wojsko śród muzyki przeciągało oddziałami. Napoleon odjechał ze swoją świtą; lud się cisnął tłumem za nim. Rustan zbliżył się do mnie, i kazał mi iść za sobą. Zdaje mi się, że ten duży pokój, do którego mię wprowadził, był na poziomie, nie daleko głównego wchodu do zamku — możeto była sala gwardyi. Po lewéj stronie stał podwójny szereg osób proszących, między którémi wiele dam i panów orderowych było; patrzyli na mnie z zadziwieniem i wielką ciekawością. W pokoju, do którego wszedłem, były wszystkie ściany mapami osłonięte. Cesarz stał przy stole nie daleko okna; przed nim kryształowa śklanka z jakimeś chłodzącym napojem, który dosyć często popijał. W prawéj ręce trzymał chustkę, którą sobie czasem pot z czoła ocierał, i którą za każdą razą natychmiast małym kapeluszem nakrywał. Za cesarzem stał jego sekretarz z wielą papierów w ręku; prośba moja leżała na wierzchu, a bystry wzrok mój spostrzegł, że na jéj krawędzi był dodany opis po francuzku. O podal od cesarza stał, oparty o poręcz krzesła, podeszły mężczyzna, chytréj twarzy, w pysznym ubiorze dworskim. Przy ścianach długiéj sali stało wielu jenerałów z odkrytą głową, w pokorném milczeniu. Dwóch wąsatych grenadyjerów trzymało straż przy drzwiach. Ten uroczysty i spaniały widok zmieszał mię nie mało, a cesarz nie dał mi czasu przyjść do przytomności.

»Czytałem prośbę wćpana,« rzekł do mnie, »przypadek jest szczególny. Lecz to do cesarzowéj wcale nie należy.« Tu nastąpiła milcząca przerwa. »Potrzeba było udać się wćpanu do Szwarzenberga.« Poczém przystąpił do mnie o krok bliżéj: Wćpan jesteś malarzem?« — Tak jest Najj. Panie. — »Austryjakiem?« — Tak jest Najj. Panie. — Masz twarz człowieka poczciwego. Taką mają wszyscy jego ziomkowie, przynajmniéj część ich większa. Miło bawiłem w Schönbrunie, chociaż mi Wiedeńczykowie nie byli radzi. S t a p s nie był Austryjakiem«

Tym osobliwszym początkiem mowy tak byłem bardzo uderzony, żem się ani na jedno słowo w odpowiedź nie zdobył. Cesarz mówił żywo daléj:

»Wćpan kochasz swego brata, to dobrze. Lecz człowiek ten, był na złéj drodze. Dla Schilla są jeszcze galery za dobre. Ja chcę tego tylko, co prawo każe. Buntów nie ciérpię. Wszak o tém wiedzieli dobrze ci zaślepieńcy.«

»Niewinność brata mego...« zacząłem mówić z drżeniem serca — lecz mi zaraz przerwał:

»Czém wćpan tego dowiedziesz? Nie chcę ja mówić, aby się sądy pomylić nie mogły; ale o m o i c h, téj myśli nie dopuszczam. To mówże wćpan!« Zacząłem się jąkać, i wymawiać moją języka niewiadomością.

»To nic nie szkodzi,« odpowiedział z większą jeszcze żywością cesarz: »Można być dobrym malarzem, a przecież źle po francuzku mówić. Ta sprawa mię zajmuje, chcę być sprawiedliwym. Daj mi wćpan dowody.«

Nabrałem serca, i mówiłem o świadectwie wspólnie z Leopoldem pojmanych, o świadectwie tego, w którego dobrach Leopold w służbie zostawał.

»Wspól pojmani?« powtórzył cesarz, i pomyśliwszy chwilkę, obrócił się do tego, co był w świetnym ubiorze dworskim: »Otranto, wćpan mi dasz z tego sprawę.« Minister się ukłonił, i wziął moję prośbę z rąk sekretarza.

»Rzecz ta pójdzie pod rozpoznanie,« rzekł cesarz do mnie. »Oddaj wćpan swój adres w prefekturze policyi paryzkiéj i miéj cierpliwość. W Paryżu dla obcych rozrywek nie mało, szczególnie dla artystów. Czy wćpan w sztuce swojéj biegłym jesteś?« Na to pytanie sumienia, nie mógłem inaczéj, jak tylko zgodnie z prawdą odpowiedziéć: wzruszyłem ramiony i spuściłem oczy. Cesarz uśmiéchnął się, i spojrzał na mnie z zadziwieniem. »Jeżeli to sama tylko jest skromność, więc nie jest na swojém miejscu. Tylko ludzie bez talentu są skromnymi. Oni muszą być takimi. Jenijusz jest w sobie jak rtęć*) lity, wszystko przenikający. Jeżeliś jednakże prawdę powiedział, i to nic rzeczy nie szkodzi. Nie wszyscy mogą być tak sławni, jak Izabej i Dawid. Jeżeli nie możem tworczéj miéć głowy, miéjmyż posłuszną rękę. I machiny być muszą. Adieu.« To rzekłszy, skinął ręką, i stojąc, jak posąg przede mną, ostro mię swém okiem przeszywał; ja, zmieszany tém, com słyszał, zacząłem się w tył, jak rak, cofać ku drzwiom.

Posłuchanie, trwające pół ćwierci godziny, zjednało mi względy u ludzi przedpokojowych. Gdym wyszedł, odbiérałem ukłony za ukłonami, a nawet gdym wsiadał do kabryjoletu, który mię do Paryża miał odwieźć, kupy ciekawych wskazywali na mnie palcami, mówiąc: Oto jest ten szczęśliwy Niemiec, który tak długo mówił z cesarzem. Ja zaś zapisałem tę niedzielę do pularesu, jak drugą szczęśliwą w życiu mojém.

Będąc skazanym na czekanie i nie mając żadnego zatrudnienia, zbijałem bruk w széroko rozległéj stolicy. Wtenczas było tam co widziéć, i chciałem z tego korzystać. Lecz o ile mię najpiękniéjsza ożywiała nadzieja, że się mój zamiar powiedzie, o tyle dręczyło mię z drugiéj strony tęskne oczekiwanie skutku, który się z dnia do dnia odwlekał. Dzieła sztuki, które wprawiały mię w zadumienie, przestały nakoniec mój umysł zatrudniać, tylko myśl o nędzy Leopolda, i życzenie przyniesienia mu ulgi, trapiły mię we dnie i w nocy. Tak upłynęło dni 14, gdy oto z nie małym dowiaduję się strachem, że cesarz i cesarzowa wybiérają się w podróż do Belgijum. Miałem słuszny powód lękania się, aby wir przygotowań do téj podróży sprawy mojéj nie pochłonął, i abym z niczém z Paryża nie wyjechał, zwłaszcza, że moja kieszeń z każdym dniem coraz bardziéj się wypróżniała. Trwoga moja wzrastała tak dalece, że już byłem blizki rozpaczy; gdy oto dnia 28. kwietnia, powróciwszy do mojego pomieszkania, zastaję kartkę z ministeryjum policyi, abym nazajutrz, w dniu ostatnim odjazdu cesarza, o saméj ósméj godzinie rano, stawił się przed nim w Tuleryjach. Nie mogąc o niepomyślnym prośby mojéj skutku ani pomyślić, mocno się uradowałem, i nazajutrz o godzinie oznaczonéj, stanąłem z wielką odwagą przed gabinetem cesarza. Marchand, kamerdyner, zapowiedział mię, i wprowadził. Cesarz skończył był właśnie swoje prace ranne, i wstał w swoim szarym surducie od stolika. Kamerdyner wyszedł, a ja, nie będąc przygotowanym do tak zachmurzonego czoła, jakie w téj chwili miał monarcha, spuściłem wzrok w ziemię.

»Patrz mi wćpan w oczy.« Zadrżałem, i stałem się posłusznym. »Oszukałeś mię! Poczciwa twarz wćpana skłamała. Wiém wszystko.«

»Najj. Panie,« odpowiedziałem przelękniony. »Nie wiém, w czém bym—. Mój brat...

»O bracie wćpana nie masz tu mowy,« przerwał mi: »Brat wćpana jest niewinny, i będzie na wolność puszczony. Ale wćpan... Mogę wćpana kazać rozstrzelać, mój panie!«

Stałem jak od piorunu rażony, tymczasem cesarz wskazał na leżący przed sobą plik papierów, i mówił daléj: »Byłeś u hordy rozbójników tyrolskich. Należałeś do buntu. Rusca skazał cię podług ustaw wojskowych na śmierć, a tyś uciekł przed karą. Oto jest wyrok. Cóż wćpan na to, mój panie?« — Byłem bez przytomności, i załamawszy ręce, chciałem coś mówić —

»Żadnéj exkuzy!« rzekł piorunującym głosem. »Zuchwałość twoja bawienia w Paryżu, zasłużyła na to, abym cię natychmiast rozstrzelać kazał... Lecz bądź rad temu, że cesarz nic nie chce wiedziéć o tobie, i że cię cesarzowa w swoję opiekę bierze,« to mówiąc zamienił groźną surowość w łagodną powagę: »Gdyby nie to, jużby po tobie było! Fouché już cię wytropił, już cię śledzi w Paryżu. Uchodźże jak najprędzéj z Francyi. Jedź na Brest, i weź z sobą brata swego. Niech sobie tę naukę, razem z wćpanem, mocno w pamięć weźmie. Buntem bawią się tylko nierozsądne dzieci; ludzie rozumni unikają go, jak śmierci. Chcąc dać przykład dla rozszalałych Niemiec, kazałem tych zbałamuconych chłopców osadzić na galerach, a złośliwych w Wezel rozstrzelać. Ja nie lubię karmić się nienawiścią, brzydzę się zemstą, ale chcę, co prawo każe. Idź wćpan; nim do Brestu przyjedziesz, już brat twój wolnym będzie.«

*) Żywe srebro.

Z radości straciłem zmysły, już nie widziałem, kto przede mną stoi; chciałem upaść mu do nóg, lecz nie dozwolił; chciałem mu rękę ucałować, lecz ją umknął, mówiąc żartobliwie: »Daj wćpan temu pokój. Nie jestem księdzem, a cesarz nie chce nic o wćpanu wiedzieć; z tém wszystkiém, szambelanowi cesarzowéj, możesz podziękować za pieniądze, które wćpanu na podróż Marchand w przedpokoju w imieniu jéj doręczy. Jestem zatrudniony. *Adieu*.«

Jak obłąkany wyszedłem do przedpokoju, gdzie mi kamerdyner oddał sporą kieskę Napoleondorów, dar prawdziwie cesarski! Przypadkiem zdybałem szambelana cesarzowéj, z przechadzki powracającego. Kamerdyner cesarza zwrócił nań uwagę moję. Pobieżałem ku niemu z miną uszczęśliwionego, radośnie mu dziękując. Nie rozumiał mię on, to prawda, lecz ja w wezbraniu rozkoszy serca mego, nie przestawałem wylewać wdzięczności w najprzyjemniejszém narzeczu wyższo-austryjackiém; wziął chęć za uczynek, i spodziewam się, że uśmiechający się kamerdyner objaśnił mu poźniéj cały związek rzeczy.

Na skrzydłach wiatru poleciałem do mego hotelu, na skrzydłach wiatru ztamtąd na pocztę, i na skrzydłach wiatru przybyłem do Brestu. Leopold z łaski kapitana Firmin ochędożnie ubrany, jak ptak wolny, wybiegł na przeciw mnie w podwórze. Byłato rozkoszna chwila powitania! Dzień jeden jeszcze zabawiliśmy u państwa Firmin, którzy do naszego szczęścia węgielny kamień założyli, a potém jechaliśmy do domu z wiatrem na wyścigi, i z tak radosném sercem, jak gdyby świat cały do nas należał!

Byłto piękny, niedzielny poranek w maju, gdyśmy w nasze rodzinne miasteczko wjechali; ludzie idący do kościoła, stawali po drodze, głośno wołając: »Patrzajcie, wszakto oni! to chłopcy naszego drogowego komisarza; obadwaj zdrowi i czerstwi! — Zajeżdżamy w podwórze domu rodziców, a z jego skromnych drzwi wybiega w powitanie nasze najmilsza nam w życiu grupa: siwy ojciec, płacząca matka, i oblubieńcza Antosia; oddajemy się łzom i radości, a do cichéj izby towarzyszy nam wesoły okrzyk stojącego na ulicy ludu. »Boże wam błogosław!« zawołał ojciec, ściskając nam obudwom serdecznie ręce. »Już się nie spodziewałam widzieć was w tém życiu!« mówiła z płaczem ściskając nas matka; a siostra, pomodliwszy się i podziękowawszy niebu, zaczęła nas obudwóch całować. Któż tę radosną chwilę opisze. Tomito była niedziela, piękniejsza od téj, w któréj sobie zachowałem życie, świetniejsza od téj, któréj przed najpotężniejszym mocarzem ziemi stałem!

Już nie miałem poźniéj nigdy takiéj, bo jéj mieć nie mogłem, bo ta przewyższała wszelką szczęśliwość, jakiéjbym tylko kiedy mógł pożądać! Radbym z duszy to szczęście odmalował lub opisał, ale ni pędzel, ni słowo nie podołają zamiarowi —; a zatém bądź mi zdrów, łaskawy czytelniku; oby ci nieba wiele, wiele takich niedziel dały!

— Ze Lwowa. —

Wspomnieliśmy już w piśmie naszém o założoném w Pradze towarzystwie »Matki czeskiéj,« którego celem jest dopomagać do wydawania i sprzedawania tanio pożytecznych dzieł w języku czeskim. Towarzystwo to, szczycące się protekcyją ś. p. zmarłego monarchy Najj. Cesarza i Króla Franciszka I., wydało już pożyteczne dla Czech owoce. Z ziomków naszych przystąpili do tego towarzystwa książę Henryk Lubomirski, ordynat na Przeworsku i kurator naukowy zakładu narod. imien. Ossolińskich we Lwowie; i pan Adam Junosza Rościszewski, dziedzic Żurowic długich. J.

Statystyka obwodu Lwowskiego. Obwód ten najmniejszy jest ze wszystkich w Galicyi, powierzchnia jego 48 1/2 mil kwad. Ludność 157,144 dusz, 4 miasta, 10 przedmieść, 2 miasteczka, 173 wsi, 27 przysiołków i 20,479 domów. (O mieście Lwowie pod względem statystycznym wspomnieliśmy w przeszłym Nrze Rozm.) Do miast pomniejszych obw. Lwowskiego należą: Gródek, który ma 6216, Szczerzec 4530 i Jaryczów 1620 mieszkańców.

Obwód Bocheński ma powierzchni 49 mil kw. po lwowskim najmniejszy. Zawiera 5 miast, 1 przedmieście, 9 miasteczek, 377 wsi, 114 przysiołków, 28,876 domów i 205,450 mieszkańców. Najwięcéj ludną jest Wieliczka, liczy bowiem 6246 mieszkańców. Sławne to miejsce z powodu nieporównanych kopalni soli. W Bochni jest siedlisko urzędu obwodowego, przytém gimnazyjum, wielka kopalnia soli i 5000 miesz. Podgórze nad Wisłą 1900, Dobczyce 2300 i Wojnicz 1200 liczą miesz. W Wiśniczu o milę od Bochni jest sąd kryminalny dla zachodniéj Galicyi. *Mn.*

Miłośnicy muzyki w Peszcie nie mogą dosyć nachwalić się pana Stanisława Serwaczyńskiego, Lwowianina. Skrzypek ten przyłożył się w Peszcie jak najwięcéj do utworzenia tamże instytutu muzycznego. Na koncercie danym zeszłego miesiąca na korzyść tego zakładu, zachwycił pan Serwaczyński wszystkich mistrzowskiém wykonaniem wielkiego koncertu z *F moll* Gubra: *Le souvenir de Paganini.* (D. P.)

Z Warszawy. Z nowin literackich nie wiele donieść możemy. I tu ledwiebym nie rzekł, jakiś rodzaj stagnacyi w czasach ostatnich opanował twórcze umysły. Ludzie utalentowani poświęcają pracę swoję tutejszym pismom czasowym, które coraz więcéj się mnożą, lecz mało wydają osobno w obszérniejszych zbiorach, lub w obszérniejszym zakresie. Wszakże do rzędu dzieł, równie Warszawie jak piśmiennictwu polskiemu zaszczyt robiących, należy wydany nie dawno tom trzeci: Historyi prawodawstw sławiańskich przez W. A. Maciejowskiego, sędziego trybunału. O dwóch pierwszych jużeśmy dostatecznie wspominali, oddając zasłużoną pochwałę dziełu temu, na które nie tylko w kraju naszym, lecz i za granicą zwrócono uwagę, szczególnie przez krytycznie rzeczy rozbiérających Niemców, którzy w pismach swoich najzaszczytniéj o tém dziele autora naszego wspominali. Gdy z jednéj strony uczony tutejszy rozświeci tym sposobem mało znane prawodawstwo sławiańskie, z drugiéj inni, chcąc publiczność z wielorakiémi obeznać wiadomościami, oraz takowe w sposób łatwy, przyjemny, przytém przystępny pojęciom wszelkiego wieku, stanu i powołania uczynić, przygotowują Encyklopedyją malowniczą, która ozdobiona rycinami łatwiéj przemawiając do umysłu, do czytania zachęci. I tu rzeczy sławiańskie obce przeplatając, podnoszą z tego względu wartość tego peryjodycznego zbioru. J.

W ostatnim numerze dziennika ministerstwa oświécenia z Petersburga czytamy ciekawą wiadomość o liście pana W. A. Maciejowskiego, nadesłanym do redakcyi dziennika tego z Bessarabii, przez pana Hiżdew. P. Maciejowski, dowiedziawszy się, iż pan Sawinicz, student moskiewskiego uniwersytetu, wytłumaczył pod przewodnictwem prof. Pogodina, na język rossyjski dwa pierwsze tomy jego »Historyi prawodawstw sławiańskich,« prosi o ogłoszenie, iż sam, łącznie z panem Hiżdew, drukuje teraz drugie, poprawne i pomnożone wydanie tychże tomów, również w języku rossyjskim; że nadto trzeci i czwarty tom tego dzieła okażą się w języku rossyjskim *pierwéj, niżeli w polskim,* i że odtąd text rossyjski uważać się ma za oryginalny. Przyczém pan Maciejowski oznajmuje, iż wszystkie cztéry tomy, z których pierwszy i drugi znacznie zostały zmienione i dopełnione, wyjdą z pod prasy w ciągu bieżącego 1835 roku, i że z niémi połączone jeszcze będzie wydanie Pamiętników prawo-

dawstwa sławiańskiego w dwóch dodatkowych tomach, które złożą piąty i szósty tom całego dzieła. Pan Hiždew ze swojéj strony dodaje, że w układaniu tych Pamiętników uczęstniczą pp. Paweł Szafarzyk i Wacław Hanka, i że za trudy przekładu p. Maciejowski ustępuje mu połowy zysku całego przedsięwzięcia. (T.P.)

Na koncercie, który panna Adel dała we Florencyi na korzyść instytutu niemowląt, dała się także słyszeć młoda księżna (czy księżniczka) Poniatowska. Znawcy zapewniają, iż po pani Catalani nie słyszeli tak zachwycającego śpiewu. (D. P.)

Thorwaldson z natchnieniem pełném zapału pracuje nad posągiem Szyllera, który stanie na wznoszącym się pomniku w Sztutgardzie. Dochody ze składek dotychczasowie wynoszą 5,000 złr.

Myśli przebiegają teraz z zachodu na wschód, ze wschodu na zachód lotem błyskawicy. Chińczykowie mają miéć przekład pisma *Penny Magazine*, wraz z rycinami; indyjscy Irokiezowie wynaleźli sobie właściwy alfabet i w piérwotnym swoim języku przekładają dzieła klasyczne literatury europejskiéj. Dzień. *Chronicle of Singapour* nie dawno donosił, że jakiś bramin zajmował się przekładem dzieła Dantego, a znowu gazety paryzkie wzmiankują, że Paulthier pracuje nad Konfucyjuszem. Ulemowie w Konstantynopolu zatrudniają się przekładem wielu dzieł europejskich treści naukowéj, a p. Hammer przełożył jedno z arcydzieł poety Fasslego (Róża i Słowik). Semele tłumaczy »Gulistana« Sadego; Tassi, arcydzieła poety indyjskiego Vali; a hetman kozaków, książę Potapow, przelał na język Kałmuków pieściwe poezyje Parnego.

W Niemczech liczą obecnie 24 zakłady dla głuchoniemych, z tych lipski, założony przez Samuela Heinike w r. 1778 jest najdawniéjszy. W ogóle ma się znajdować istniejących w świecie 130 zakładów dla głuchoniemych; z tych Europa 122 posiada. Wiedeński zakład, pod dyrekcyją pana M. Venus, uważany jest za najznakomitszy w Niemczech.

Pokrycie na głowę z najczystszego złota, nieco podobne do kształtu kapelusza tyrolskiego, znalezionem zostało o dwie godziny drogi od Spiry przez pewnego włościanina na roli w 1 1/2 stopy głębokości; gdy zaś ten zabytek mógł być kiedyś ozdobą jakiego króla, kapłana lub posągu z czasów celtyckich, przeto zapłacono za niego 550 zł. reń. i posłano do zbioru starożytności w Mnichowie.

Zbiór dzieł Chateaubrianda ogłoszony został w Paryżu przez Pourrat i Delloye drogą subskrypcyi, w 32 tomach, tom po 8 fr. — Potrzeba 6300 prenumeratorów ku pokryciu tego przedsięwzięcia, do którego wchodzi także loteryja. Powyższa liczba rozdzieli się na 90 oddziałów, każdy po 70 abonentów. Piérwsze ciągnienie okaże, które oddziały do losowania o wygrane wchodzić będą, drugie zaś, co z tych każdy wygra, — i tak piérwszy los wygrywa summę 100,000 frank., drugi biblijotekę wartości 15,000 fr., trzeci 10,000 fr., czwarty 5,000, a piąty 3,000 fr., następnych 25 po 1000, a ostatnich 40 po 500 franków, co wszystko wynosi summę 180,000 fr. Wydanie nadzwyczajnie jest staranne, ozdobne rycinami.

W Paryżu umarł nie dawno były pułkownik Coutelle w 87m wieku. Onto stérował wraz z sławnym Conti owym balonem, którego w czasie wojny rewolucyjnéj w wojsku francuzkiém do rozpoznania nieprzyjacielskiego stanowiska użyto. Coutelle stérował balonem szczególniéj w bitwie pod Fleurus.

We Francyi (depart. Lot) żyje pewien duchowny, nazwiskiem Paramelle, który, jak nikt z ludzi, posiada sztukę odkrywania ukrytych źródeł. Utrzymuje, że przez długie geologiczne badania i doświadczenia obiegu wód, do tego przyszedł, iż bez wszelkiego narzędzia, jedynie rzutem oka zgłębia kierunek wewnętrznych źródeł. Odbywa podróż pod względem téj ważnéj sztuki, i taką pokazuje pewność i dokładność w swoich postrzeżeniach, że stanąwszy na pochyłości jakiego wzgórka lub góry, natychmiast kreśli profil położenia gruntu po drugiéj stronie góry, wraz z źródłami, ukrytemi w głębi. Ostateczny jego pobyt był w Sabaudyi.

Profesor Guilbert wydał dzieło, w którém dowodzi, że wszystkie choroby pochodzą z nadwerężenia równowagi elektryczności w ciele ludzkiém.

Arcybiskup Fenelon nadzwyczajnie był dobroczynny, tkliwe jego serce najbardziéj sprzyjało włościanom, których los gorzki umiał podzielać. Razu pewnego uskarżał się przed nim pleban, że jego parafianie mimo wszelkich uwag przeciwnych co niedziela wieczór tańcują. »Przyjacielu!« odpowiedział Fenelon, »my oba tańczyć nie powinni śmy, ale biédnym ludziom nie brońmy poskakać, jeżeli to im uciechę przynosi; wszakże chwile ich szczęścia nie są bardzo liczne!«

P. Whegston, prof. w królewskiém kolegijum w Londynie, za pomocą doświadczeń zrobił odkrycie: że znajoma nam prędkość światła, które ubiega w sekundzie 200,000 mil. angiel., przewyższoną została przez płyn elektryczny, który o 80,000 mil ang. prędzéj od światła w jednéj sekundzie przebiega.

W Londynie wzbudza teraz wielkie zadziwienie automat mówiący, sporządzony przez instrumencistę Bowles. Automat ten wyobraża ducha opiekuńczego Anglii, i śpiewa piérwszą zwrotkę pieśni: *God save the King.* Taka jest dziwna przyjemność śpiewu i taka dobitność w wymawianiu wyrazów, że słuchaczom automat nie wydaje się mechaniczną sztuką, ale najwyborniejszą śpiewaczką.

Znowu gorliwie wzięto się do pracy około tunelu pod Tamizą; jednakże to prawdziwie angielskie przedsięwzięcie, podług zdania znawców nigdy się nie uda, z powodu, że tunel został nie dość głęboko pod Tamizą założony.

Pani Malibran weszła w układ z dyrekcyją teatru Drurylane. Poraz piérwszy ma wystąpić w nowéj operze: »Żydówka.« Zgodzono się z nią za 2000 funt. sztrl. (20,000 złr. m. k.) na całą wiosnę.

Pewien Anglik we wtorek utracił żonę swoję, we środę kazał ją pogrzebać; we czwartek ożenił się z drugą, która w piątek niespodzianie syna mu powiła; tyle zdarzeń, idących dzień po dniu, do tego stopnia przeraziły Anglika, że w sobotę się obwiesił.

W północnéj Karolinie przyjęto ustawę większością 50 głosów przeciw 38, mocą któréj każdemu kolorowéj cery człowiekowi, gdyby nawet był wolnym, zakazuje się, aby nie dawał lub nie kazał dawać dzieciom swoim żadnych nauk. Co za mądra ustawa!

Mody. Na rękach elegantek postrzegać się dają brunatne lub czarne rękawiczki, haftowane zielonym, czerwonym lub niebieskim jedwabiem. Parasole są białe lub szkockie, wpadające w kolor zielony. Rączka misternie bywa wyrobioną, zwykle w kształcie jabłka, sarniéj głowy, lub szponów. Kolorowe jedwabne pończochy i trzewiki tejże barwy powszechnie wchodzą w modę. — Do wielkiego stroju w Paryżu należy płaszcz z indy[illegible]kiego muszlinu, haftem z piór ozdobiony i podszyt[illegible]wym grodenaplem; takoważ pele[illegible]na obszyta kor[illegible], rękawiczki żółte, bóciki z sza[illegible]go atłasu i kapelusz ryżowy, ozdobiony pół wieńcem z róż; ubior ten wymaga największéj pogody. — W kroju sukien mało pozachodziło odmian. Rękawy w ogóle zaczynają utracać z przesadzonéj swojéj szérokości. Natomiast panuje niesłychany zbytek we wstążkach, których pełno noszą na szyi.

Znaczenie szarady w przeszł. Nr. Rozum:
Chłopiec.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.